

Teodolitem i piórem

Rozmowa z **WOJCIECHEM ALBIŃSKIM**, geodetą, który 40 lat spędził w Afryce, a od dziesięciu pisze opowiadania

BARBARA STEFAŃSKA: Polska lat 60. i obecna to dwie różne rzeczywistości. Jakie zmiany dostrzega pan po powrocie do kraju?

WOJCIECH ALBIŃSKI: Niewiele się zmieniło, za mało. Język jest trochę inny, np. weszły do użytku takie słowa, jak „fajnie”, „dobra, dobra”.

Jak pan wspomina studia geodezyjne na Politechnice Warszawskiej?

Bardzo dobrze. To był przyjemny okres. Miło wspominałem doktora Kazimierza Bramorskiego oraz kolegów Grafińskiego i Sławińskiego.

Dlaczego wybrał pan ten kierunek studiów?

Wydawało mi się, że wykształcenie geodezyjne pozwoli mi podróżować i poradzić sobie w każdej sytuacji. I rzeczywiście, na początku bardzo dużo jeździłem po polskich wsiach, PGR-ach. Ogromnie mnie to cieszyło, że poznałem kraj od podszewki. Zatrudnienie znalazłem w Wojewódzkim Urzędzie Rolnictwa oraz w firmie Hydroprojekt.

W czasie studiów publikował pan w znanym dwutygodniku literackim „Współczesność”. Dlaczego po tym wczesnym starcie przestał pan pisać?

Pisanie było moim hobby. Nie myślałem, że stanie się centralną linią życia. Ale po latach przyjaciele, szczególnie redaktor Marek Nowakowski, namówili mnie, że bym ponownie zaczął publikować.

W jaki sposób znalazł się pan za granicą w 1963 roku?

Pojechaliśmy z żoną na wycieczkę do Francji i nie wróciliśmy. Zatrzymaliśmy się na kilka lat w Szwajcarii. Tam przypadkiem udało mi się znaleźć pracę. Zwiedzaliśmy pewnego razu Genewę, piękne miasto, z dwoma przygodnie spotkanymi znajomymi. Jeden z nich zwrócił uwagę na szyld z napisem „Pierre Gilbert, géomètres officiel”, czyli mierniczy przysięgły. Wszedłem do tej kamienicy z czasów Kalwina i moim łamanym francuskim porozmawiałem z właścicielem firmy. Powiedział: Dobrze, pracuj u mnie. Bardzo mnie to zaskoczyło, ale otworzyła się przede mną wielka szansa. Zostałem zatrudniony przy pracach katastralnych. Wówczas wykorzystywaliśmy jeszcze dalmierze optyczne. A poza tym nauczyłem się francuskiego i teraz bardzo lubię ten język.

Co skłoniło pana do wyjazdu do Afryki?

Pomyślałem, że warto byłoby rozejrzeć się po świecie. Zawsze mnie ciągnęło do szerokich przestrzeni, pod warunkiem że nie będzie to gorąca i wilgotna Afryka równikowa. Nawiązałem kontakty korespondencyjne z rządowym departamentem geodezji w Betsuanaland, czyli dzisiejszej Botswanie, i pewnego dnia przysłano mi zawiadomienie, że potrzebują geodety, gdyż właśnie tworzą centralne biuro geodezyjne w stolicy – Gaborone.

Jak się pan tam dostał?

Płynąłem okrętem z południa Hiszpanii do Kapsztadu w Republice Południowej Afryki. Rejs trwał dwa tygodnie. Ciekawostką było to, że na statku trzeba było mieć strój wieczorowy, żeby zjeść kolację, jak w starych filmach. Zabrałem ze sobą samochód z Genewy i – ku mojemu zdziwieniu – nie były do jego przewiezienia potrzebne żadne papiery ani w Hiszpanii, ani w Afryce. W Kapsztadzie wsiadłem do samochodu i przejechałem przez całą Afrykę Południową, kierując się do Botswany.

Jakie prace wykonywał pan w Botswanie?

Już przed moim przyjazdem zbudowano punkty triangulacyjne, a moją pierwszą pracą było pomierzenie całej tej sieci teodolitem Wild T3. Ponieważ w ogóle nie było map, jako podkład służyły szkice, na których ktoś narysował trochę kresek. Nie było tam ani jednego miejscowego geodety, nie było nawet lekarza. Byłem jedynym białym w ekipie, pracowali ze mną czarni robotnicy, bardzo przyzwoici i przyjacielscy. Porozumiewaliśmy się po angielsku. W Botswanie spotkałem się z dużą serdecznością. Kiedy powiedziałem, że chciałbym uzyskać dyplom licencjonowanego geodety, to go otrzymałem.

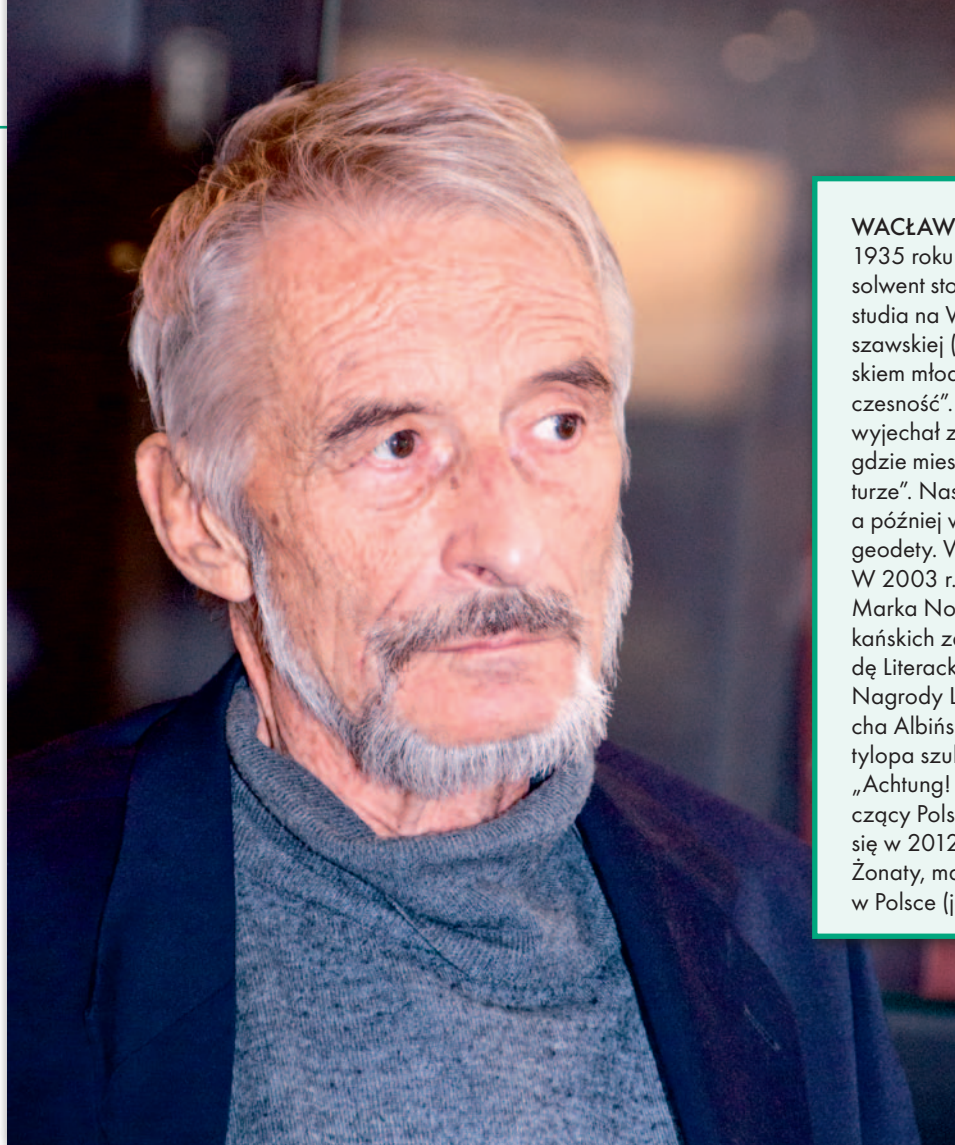
Dostaliśmy też domek. Natychmiast zjawił się ogrodnik chętny do pracy, gdyż wśród ludności rozeszła się wieść, że przyjechał ktoś nowy. Przyjąłem go, zatrudniliśmy też służącą w eleganckim fartuszkach. To były doskonałe warunki do wychowywania dzieci, a my akurat mieliśmy małe dziecko.

Poza tym w Botswanie, co trzeba pochwalić, panuje system demokratyczny



Fot. z archiwum Wojciecha Albińskiego

Wojciech Albiński, Botswana, lata 60.



WACŁAW WOJCIECH ALBIŃSKI – urodził się 27 stycznia 1935 roku we Włochach (obecnie dzielnica Warszawy), absolwent stołecznego liceum im. Wojciecha Górskiego, ukończył studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej (1957 r.). W czasie studiów związany ze środowiskiem młodych pisarzy, którzy założyli pismo literackie „Współczesność”. Publikował w nim wiersze i felietony. W 1963 r. wyjechał za granicę: najpierw do Paryża, potem do Genewy, gdzie mieszkał do 1969 r. Publikował także w paryskiej „Kulturze”. Następnie wyruszył do Afryki. Mieszkał w Botswanie, a później w Republice Południowej Afryki, wykonując zawód geodety. W 2010 roku powrócił na stałe do Polski. W 2003 r., dzięki staraniom kolegi z czasów młodości pisarza Marka Nowakowskiego, ukazał się tom jego opowiadań afrykańskich zatytułowany „Kalahari”. Książka otrzymała Nagrodę Literacką im. Józefa Mackiewicza i została nominowana do Nagrody Literackiej „Nike”. Kolejne tomy opowiadań Wojciecha Albińskiego to: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007), „Achtung! Banditen!” (2009) – jedyny zbiór opowiadań dotyczący Polski. Najnowsza książka „Soweto – my love” ukazała się w 2012 roku nakładem wydawnictwa W.A.B. Żonaty, ma dwóch synów, jeden z nich mieszka w RPA, drugi w Polsce (jest rzeźbiarzem).

Fot. Jerzy Przywara

i nikt nikogo nie morduje. No i są tam cudowne zwierzęta: antylopy, gazy, słonie, żyrafy.

Jak długo mieszkał pan w Botswanie?

Parę lat, ale potem ciągle tam jeździłem, gdyż Gaborone leży zaledwie 30 km od granicy z RPA.

W Republice Południowej Afryki też dostał pan dom?

Nie, tam nic nikomu nie dawano. Ale wybudowanie domu nie było takie trudne. Na suchej ziemi wystarczą płytkie fundamenty. Mieliśmy więc duży dom, był też ogród, psy. Tam jest to przeciętny standard życia. Człowiek bardzo łatwo się do tego przyzwyczaja.

Dlaczego zdecydował się pan zatrzymać na dłużej w RPA?

To rozwinięty, cywilizowany kraj. W Johannesburgu, gdzie się osiedliłem, jest zielono, przyjemnie. To miasto przypomina mi nawet Genewę. Pierwszą pracę w RPA dostałem od rady miasta, a były to bardzo dobre płatne pomiary osiadań. Wybudowano tam autostrady, a przy wiaduktach co kilkadziesiąt metrów postawiono potężne postumenty, służące do kontroli osiadania i przemieszczeń, bo pod ziemią były kopalnie złota. Sprawdziłem więc, czy nie ma jakichś niespodziewanych zmian. Zleceniodawca po-

wiedział mi: Idź i mierz, jak chcesz, byle było dobrze. Nie było bowiem żadnych przepisów mówiących, co i jak robić.

Potem pracował pan jako wolny strzelec?

Tak, i nie brakowało mi zleceń. W Południowej Afryce profesja geodety jest bardzo szanowana, gdyż wszystko, co dotyczy ziemi, jest dla Burów [potomków europejskich kolonistów – przyp. red.]

rzeczą świętą. Mierzyliśmy przy użyciu wildowskiej aparatury. Potem kupiłem wspaniałą maszynę elektroniczną – dalmierz Wilda, który był niezawodny.

W RPA byli miejscowi geodeci, nawet istniał związek geodetów. W ekipie miałem czarnych pracowników, ale potem pojawiali się też biali, np. przyjechał do mnie na pół roku z Polski Andrzej Świątek.

Otrzymał pan południowoafrykańskie obywatelstwo?

Tak, po czterech latach. Wówczas w RPA obowiązywał apartheid, białym łatwo było je otrzymać.

Przyjechał pan do RPA, gdy panowała tam polityka segregacji rasowej. Jak to wyglądało na co dzień?



Wojciech Albiński, Botswana, lata 60.

Fot. z archiwum Wojciecha Albińskiego



Fot. Jerzy Przywara

Spotkanie z czytelnikami w Klubie Absolwenta Politechniki Warszawskiej, 24 kwietnia 2012 r.

Przyjmowałem tę sytuację taką, jaka jest, z dobrodziejstwem inwentarza. Myślałem: Nie będę krytykować, jestem gościem. Mnie też obowiązywały te prawa. Apartheid wynikał z faktu, że biali nie chcieli zniknąć wśród czarnych, których było dużo więcej.

Istniała wzajemna wrogość widoczna na co dzień?

Nie. Tamtejsza ludność jest pogodna. Wystarczy kogoś zapytać o drogę i już nawiązuje się przyjemna konwersacja. Dlatego łatwo było się tam zadomowić. Uderzyło mnie po powrocie, że w Polsce ludzie się nie uśmiechają, pani redaktor jest wyjątkiem, a tam wręcz przeciwnie. Jeśli Afrykańczyk się nie uśmiecha, to znaczy, że coś jest niedobrze.

Ale w pana afrykańskich opowiadaniach pojawia się dużo konfliktów, przestępczości.

Tak, to jest paradoks. Z jednej strony groza, oczekiwanie, że apartheid musi się skończyć, a z drugiej – wesołość, otwartość, przyjemne kontakty międzyludzkie. System segregacji rasowej był nie do utrzymania. Napisy „Tylko dla białych” np. na restauracjach raziły. To było paskudne i, oczywiście, rodziło bunt.

W byłych koloniach niemieckich czy francuskich przed ich upadkiem obowiązywały podobne zasady, ale jeśli Murzyn był porządnie ubrany i zachowywał się spokojnie, to nikt go nie wypraszał. Burowie wszystko kategoryzują, i to się przekładało na różne sfery: administrację, wygląd gospodarstw, życie codzienne.

A jak się zmieniła sytuacja po zniesieniu apartheidu?

W RPA ludzie biali i czarni żyją w zgodzie, choć układy diametralnie się zmieniły. Te zmiany polityczne nie przekładają się jednak na żądę zemsty. To jest zupełnie naturalny układ, że biały jest pracodawcą, więc nadal są czarni ogrodnicy. I cieszą się, że mają pracę.

Czy historie przedstawione w pana opowiadaniach są prawdziwe? Każdy z bohaterów ma swój pierwowzór w rzeczywistości?

Do pewnego stopnia tak. W każdym razie są to wiarygodne sytuacje, z życia wzięte. Nie chciałem fantazjować. Bo po co? Życie jest wystarczająco bogate.

Inżynier Albert pojawiający się w kilku opowiadaniach tomu „Soweto – my love” to pan?

Jeśli mierzy, to na pewno ja.

Jak to się stało, że 10 lat temu chwycił pan za pióro?

Chodziło mi to po głowie. Muszę pisać, bo coś się układa, coś człowieka zaskakuje, bo taka jest prawda o danej rzeczy

czy sytuacji. Potem ujmowałem te myśli w formę literacką, żeby dało się czytać.

Gdzie się pan nauczył pisania?

Sposobu ujmowania rzeczywistości w słowa nauczyłem się, słuchając kaset z angielskimi klasykami. Angielski jest piękny. Podobała mi się zwięzłość tego języka. A przeskoczenie z jednego języka na drugi przestało być dla mnie problemem, mogę zacząć mówić po angielsku czy francusku, a skończyć po polsku. Najważniejsze jest to, co chce się powiedzieć.

Czy pana opowiadania będą tłumaczone na inne języki?

Ostatnio ktoś bardzo chce przetłumaczyć na angielski wszystkie moje książki.

Pana twórczość jest osadzona w rzeczywistości RPA. Nie kusiło pana, żeby wprowadzić wątki polskie?

Jedną książkę napisałem o Polsce, o powstaniu warszawskim, na podstawie tego, co pamiętam z dzieciństwa.

Jak długo pisze pan jedną książkę?

Około roku, długo i powoli. Do ostatniego momentu sprawdzam i poprawiam tekst. Ale kiedyś trzeba skończyć, bo inaczej można by przestawiać słowa w nieskończoność. A potem wyrzucam to z pamięci. Teraz wyjdzie nowe, poprawione wydanie mojej książki „Kalahari”. Ja nie chciałem jej poprawiać, zostawiłem to zadanie redaktorom.

Czuje się pan bardziej Polakiem czy mieszkańcem RPA?

Oczywiście, że Polakiem. Powoli cały ten poprzedni okres, 50 lat, zaciera mi się w pamięci. Ale i tu, i tam jestem u siebie, chociaż coraz mniej chce mi się podróżować.

Co pana skłoniło do powrotu?

Zacząłem przyjeżdżać na krótkie okresy do Polski po publikacjach moich kolejnych książek. Coraz mniej łączyło mnie z Afryką, a coraz więcej z Polską. Tutaj mam krewnych. W 2010 roku zamieszkałem w Warszawie.

Rozmawiała Barbara Stefańska

Botswana

Powierzchnia 582 tys. km kw., ludność: 2 mln, stolica: Gaborone, większą część powierzchni kraju zajmuje półpustynna kotlina Kalahari; do 1966 r. protektorat angielski pod nazwą Bechuana.

Republika Południowej Afryki

Powierzchnia 1,219 mln km kw., ludność: 50,6 mln, stolica: Pretoria, języki urzędowe: angielski oraz 10 języków lokalnych. W XVII i XVIII wieku osiedlali się na tych terenach Burowie – głównie holenderscy koloniści. Pod koniec XIX wieku wybuchły wojny pomiędzy Burami a Brytyjczykami (wojny burskie). W 1910 r. utworzono Związek Południowej Afryki, będący dominium brytyjskim. W 1961 r. powstała niepodległa Republika Południowej Afryki. W RPA od początku lat 50. aż do początku lat 90. XX wieku obowiązywał bazujący na segregacji rasowej system apartheidu, dyskryminujący czarną ludność. Pierwszym czarnoskórym prezydentem kraju został w 1994 r. zasłużony w walce z apartheidem Nelson Mandela.